

NAUCZKA

Zelektryzował mnie reportaż z za kulis Narodowego Centrum Nauki¹. Gdy warszawski socjolog zasiadał w fotelu cenzora, mnie przypadła rola petenta.

O pisaniu badawczego wniosku myślałem bez entuzjazmu. Współczynnik sukcesu w moim obszarze (25%) marnie wróży, zapowiedź nieuchronnej kary (karencji) za marny wniosek jawnie zniechęca. Funduszy statutowych wystarcza na konferencje, toner i papier. Lecz w sezonie wytęsknionych podwyżek pensji nie mogłem dłużej lekceważyć dziekańskich monitów.

Elektroniczną redakcję wniosku rozpocząłem od końca, czyli od napisania wymaganego pełnego opisu projektu (15 stron), rozmowy ze współpracownikami, zbierania istniejących projektów i pomysłów na różnym etapie szlifowania i poszukiwania mianownika dla spójnej koncepcji. Zamykałem tekst z satysfakcją niezmaconą odkryciem, że tekst należy dostarczyć tylko po angielsku. Poruszyła mnie jednak uwagą drobnym drukiem: „...na pierwszym etapie oceny merytorycznej załącznik 'Szczegółowy opis projektu' nie będzie oceniany”. Dla kogo to napisałem? Dla konkurencji za granicą?

Jeszcze opis skrócony (5 stron po polsku), jeszcze dwujęzyczne streszczenie i zamyślałem się nad tytułem; ma być wyczerpujący. Odrzucam natrętne podejrzenie – czy przeczytają i resztę?

Do komputera zasiadłem z werwą, lecz nie od razu pokonałem pierwszą przeszkodę: stronicowe *explanation* zgodności projektu z kryteriami badań podstawowych. Jakimi? Znikąd pomocy. Sięgam do ustawy² i cytując prawo oświadczam, że obca mi jest myśl o praktycznym zastosowaniu wyników. Waham się, czy to rozsądne, trudno. Na kosztorysie utknąłem, mój amerykański dialekt podpowiadał mi opaczna interpretację urzędowej angielszczyzny wniosku. Pomogła księgowa – angielskiego nie zna, lecz niejeden wniosek widziała. Jeszcze własne dokonania. Elektronika czuwa, bym nie chwalił się publikacjami starszymi niż 5-letnie, osiągnięcia (?) mogę wymienić z ostatnich 10 lat. Nagrody bez ograniczeń, pod warunkiem, że są *prestigious*; onieśmielony, nie wymieniam.

Redagowanie danych wnioskodawcy okazało się niebanalne. Wnioskodawca to uczelnia/wydział (nie ja!), lecz to każdy z pokornych autorów sam wklepuje numer gminy, dwujęzyczną tytułaturę uczelnianej władzy, slogany publicz-

nej pomocy itp. Wszystko nie tak, co dziewczyny w centrali pobłażliwie wytykają najdalej po czwartej wizycie. Jeszcze kosztorys na polski (kwestura w *language* nie czyta), jeszcze dyrektor, dziekan, prorektor (nie czytają wcale) i naciskam elektroniczny guzik.

Na spotkaniu przy okazji obrony doktoratu relacjonowałem świeże doświadczenia i enuncjacje warszawskie³. Nieoczekiwanie w komisji ujawniło się dwóch czynnych ekspertów NCN, których wnet zasypano pytaniami. Dzieliło ich pokolenie i różne specjalizacje, lecz zgodnie przyznali – najpierw sprawdzamy autorów: publikacje, cytowania, IF, H. Biedzą się nawet kontrolą, czy wymieniane publikacje naprawdę istnieją... Miałżeby narodowy urząd zajmować się wnioskami autorów z marnym H lub nie publikujących przez 5 lat niczego impakowego? „No way!”. W milczeniu zuliśmy nowiny, a młodszy dorzucił: „Kosztorys OK to podstawa”. Podnieśliśmy uszy, gdy wytykał: za dużo na konferencje, na wypłaty, na zakupy. „Rubbish!”. Oddycham z ulgą, zalecany przez urząd poziom wynagrodzeń (sporo wyższy od mojej pensji) wydał mi się przesadny, wypłaty w projekcie zaplanowałem ostrożniej.

„A kiedy je czytacie?” – zagadnął z nadzieją świeżo habilitowany słuchacz. „Do recenzentów kierujemy nie więcej niż co drugi” – orzekli stanowczo eksperci. Młody zmarkotniał, a już w korytarzu rozmarzył się: „Słyszałem, że w UE są programy, gdzie oceniają najpierw pomysły”. „Forget!” – protestuję – „u nas ceni się doświadczenie”. Burknął pod nosem coś o wypełnianiu formularzy.

U stóp Wawelu, w honorowej krypcie, której nie otwarto nawet dla najsławniejszego w świecie polskiego autora, geniusza naukowej fantastyki, złożono prochy pisarza arcypolskiego, przenikliwego obserwatora losów szarego człowieka. Ten doceniłby trudy aplikującego w obcej mowie do urzędników przy Królewskiej, pochyliłby się nad zatroskanym, jakichże zasług mu trzeba, by jego marzenia zostały w uczonym gremium odczytane. To Mroźek patronuje z zaświatów naszym znojom wśród systemowych meandrów, nie Lem – naukowy wizjoner.

Fundusze dostanę lub nie, lecz Niezwykle Cenną Nauczke zapamiętam.

¹ Marcin Kula, *Jak wyląknęłam się NCN-u*, w: „UW” (2013, nr 4), s. 18. ² Dz. U. nr 96, 2010, poz. 615. ³ M. Kula, art. cyt.

